N^{ro} 24

ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.

Utile dulci.

PISMO DODATKOWE

DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO

we Srodę dnia 17 Czerwca 1829 Roku.

Jutro z powodu Uroczystego święta Gazeta Korrespondenta nie wyydzie.

I.

DOM DUCHA

Powieść z dzieł Geofroy Crayon.

(Ciąg dalszy.)

Nasz bohatyr aż przy brzegu zachodnim dostał się na ląd i wdrapawszy się po skałach, usiadł słaby i zmordowany pod drzewem. Powoli obłoki usunęły się na wschód, i pozostały tam w lekkich massach oświecone ostatniemi promieńmi słońca. W około nich przebiegało ieszcze kilka błyskawic i huk gromu słabo dawał się słyszeć w oddaleniu. — Dolf podniósł się chcąc uyrzeć czyliby nie znalazł ścieszki wiodącéy wgłąb téy okolicy, lecz wszystko na co patrzał było dzikiém i pustém. Skały tworzyły piętra ustawione iedne na drugich, a ogromne pnie drzew leżały na ziemi, iak gdyby wywrócone od burzliwych wichrów, lub ręką czasu strącone. — Skały tak były zarosłe cierniem i dzikiemi winoroślami, że prawie niepodobna było przedrzeć się przez nie. Dolf za każdém poruszeniem strącał na siebie krople zawieszone na liściach. Usiłował wdrapać się na ieden z tych wierzchołków prawie prostopadłych; przecież choć był młody i zręczny ta praca była nad iego siły. — Raz chwytał za ułomki skał kruszących się pod iego ręką, to znowu za korzenie i gałęzie drzew iakoby zawieszone w powietrzu. Turkawka krążyła około niego, a orzeł krakał z wierzchołka skały. Gdy się tak wdrapywał i miał uiąć za krzak, usłyszał szelest pomiędzy liściem i uyrzał węża wysuwaiącego się iak błyskawica z pod iego ręki. Gad zwrócił się natychmiast iakby wyzywaiąc go do walki i w roztwartem gardle kręcił ięzykiem nakształt małego płomyka. Dolf zdjęty przestrachem iuż chciał się spuścić w przepaść, lecz wąż przez chwilę tylko był w téy postawie, i widząc, że go nie myślano napastować, wsunął się w rozpadlinę skały. Dolf poyrzał za nim z obawą i uyrzał natychmiast, że się znaydował bardzo blisko gniazda wężów które splecione z sobą syczały w otworze. Starał się więc iak nayprędzéy opuścić tak niebezpieczne sąsiedztwo. Jego wyobraźnię ogarnęła nagle ta nowa okropność. Widział węża na każdéy gałęzi winnéy, a każdy zeschły liść spadaiący na niego, zdawał mu się odgłosem grzechotnika.

Dostał się wreście na wierzchołek przepaści uwieńczony gęstym lasem. Wszędy, gdziekolwiek mógł przéyrzeć pomiędzy drzewami, widział tylko skały

iedne na drugich wniesione, kończące się łańcuchem gór olbrzymich.

Nie było tam żadnego śladu cywilizacyi nie wznosił się ani ieden dym z pomiędzy drzew, któryby wskazywał mięszkanie ludzkie. Wszystko było dzikiém i samotném. Podczas gdy stał nad brzegiem przepaści przyglądaiąc się głębokiemu wąwozowi otoczonemu drzewami, ogromny kawał skały oderwał się z pod iego nóg i stoczył się w przepaść, krusząc po drodze gałęzie drzew pomiędzy któremi przedzierał się. Wielki krzyk dał się słyszeć z głębi przepaści, a potem za chwilę nastąpił wystrzał. — Kula świsnęła koło uszu Dolfa, odcięła gałąź przy iego boku, i wpadła głęboko w pień kasztanu.

Dolf nie czekał drugiego wystrzału, ukrył się spiesznie obawiaiąc się co chwila aby go nieprzyiaciel nie ścigał. Wrócił iednakże bez przygody nad brzeg i nie chciał iuż iśdź w głąb kraiu tak pełnego niebezpieczeństw.

Usiadł zmaczany i w rozpaczy na wilgotnym kamieniu, zapytywał sam siebie co miał począć? kędy się schronić? Godzina spoczynku zbliżała się. Ptaki wracały do gniazd, niedoperz zaczynał snuć się śród zmroku, a sęp nocny wzbiiał się ku niebu. Noc zbliżała się stopniami, i ciemną zasłoną pokryła przyrodzenie. Chociaż to było przy końcu lata, wiatr nadrzeczny i wilgoć panuiąca śród lasów zwłaszcza po burzy, przéymowały zimném, szczególniéy człowieka co był wyszedł z wody. Gdy się tak smutnym myślom oddawał, uyrzał pomiędzy drzewami blisko brzegu światło, w miéyscu gdzie rzeka tworzyła głęboką zatokę. — Ten widok wrócił mu nadzieię, że znaydzie w bliskości mieszkanie ludzkie kędy będzie mógł zaspokoić głód i co niemniéy było konieczném dla rozbita, schroni się na noc. Z niemałą trudnością dostał się do światła, mimo niebezpieczeństwa aby nie wpadł w rzekę; posuwał się nad brzegiem i przełaził przez ogromne pnie drzew które po większéy części wywrócone podczas burzy ostatniéy, tamowały mu drogę. Doszedł wreście do miéysca, z którego wychodziło światło. Biło ono od ognia zapalonego u stóp wielkiego drzewa stoiącego śród murawy rosnącéy pomiędzy skałami. Ogień błyskaiąc światłem czerwonawém; zostawiał przerwy czarne podobne do otworów tyluż iaskiń. Mały strumyk płynął niedaleko, iak można było doyrzeć przy drżącém świetle ognia. Dwie osoby chodziły przed ogniskiem, wiele innych leżało w koło na ziemi. Lecz że się znaydowały pomiędzy nim i światłem, nie mógł rozróżnić ich rysów; przecież iedna z nich przeszła przypadkiem za drugą stronę, Dolf zadrżał poznaiąc po iéy skórze malowanéy i srebrnych ozdobach, że to był Jndyanin.

Przyglądał się iednak bliżéy, uyrzał strzelby oparte o drzewo, i trupa rozciągniętego.

— Na ten widok Dolf, zaczął się obawiać czy nie wpadł ieszcze w gorsze położenie nad to, z którego tylko co wyszedł. Widział nieprzyiaciela który strzelił do niego. Chciał więc wycofać się po cichu, nie śmieiąc powierzyć się istotom na pół tylko ludzkim w miéyscu tak dzikiém i samotném; lecz iuż było za późno.

Jndyanin, bystrym okiem swemu plemieniu właściwém, uyrzał przedmiot ruszaiący się pomiędzy skałami i uchwycił strzelbę opartą o drzewo. — Jeszcze chwila, a chęć Dolfa do nadzwyczaynych przypadków uleczoną byłaby sposobem okropnym. Krzyknął bardzo mocno; co pomiędzy Jndyanami iest oznaką przyiaźni. Całe zgromadzenie w iednéy chwili stanęło na nogach. Pozdrowiło go wza-

iem i wezwało do ognia zbłąkanego wędrowca.

Dolf, zbliżaiąc się uyrzał z rozkoszą, że biali z Indyanami zmięszani byli. — Jeden z nich który był widocznie główną osobą lub dowódzcą, siedział na pniu przed ogniem. Był to mężczyzna silny, wysokiéy postawy, w wieku iuż podeszłym, lecz ieszcze zdrowy i czerstwy. Jego cera była prawie tak śniadą iak Indyan. — Rysy miał wydatne, lecz dosyć wesołe. Miał nos orli, a twarz podobna była do paszczęki psa. Nosił na głowie ogromny kapelusz, u kapelusza wisiał ogon Daniela. Włosy siwe miał obcięte krótko przy szyi.

Ubior iego składał się z myśliwskiéy kurty, lecz nosił buty i *moskasiny* zwyczaiem Indyan. Opasany był szerokim *wempsurs* przy którym wisiał *tomahawk*. Gdy mu Dolf dobrze się przyyrzał, uderzyło go nieiakie podobieństwo pomiędzy nim a starcem z domu ducha. Ale człowiek ten różnił się iednakże wiekiem i stroiem. Miał także pogodniéysze oblicze. Jednem słowem trudno byłoby powiedzieć na czém zasadzało się to podobieństwo, ale że było, to rzecz nieomylna. Dolf przeląkł się nieco, zbliżywszy się do niego, ale go zaspokoiło szczere i przyiazne przyięcie. Spoglądaiąc w około siebie tém bardziéy uspokoił się postrzegłszy, że mniemany trup ludzki, był to ubity ieleń, i gdy z przyiemnego zapachu wychodzącego z kociołka zawieszonego nad ogniem, wniósł że część zwierzyny duszono na wieczerzę.

Była to gromada błędnych strzelców. W pierwszych latach kolonizacyi, wyprawy takie były bardzo we zwyczaiu. Myśliwy zawsze iest gościnnym, a spotkanie się w puszczach czyni ludzi bardzo towarzyskiemi. Dowódzca gromady nalał Dolphowi kieliszek rozgrzewaiącego napoiu który mu podał wesoło i rzekł iednemu ze swoich ludzi, aby z szalupy niedaleko stoiącéy przyniósł suknie w któreby się przebrał nowo przybyły gdy tymczasem iego odzież wyschnie przy ogniu.

Jak się spodziewał nasz młody podróżny, odkrył, że wystrzał który go tak zastraszył, pochodził od iednego z tego towarzystwa. O mało że nie przygniotł iednego z nich, kawałem skały który mu się pod nogami usunął, a stary wesoły strzelec w wielkim kapeluszu, wystrzelił w stronę gdzie się coś ruszało w krzakach, rozumieiąc że to iest iaki zwierz dziki. Śmiał się bardzo ze swoiey omyłki. — »Mój chłopcze gdybym cię tylko mógł był doyrzeć, byłbyś zleciał razem ze skałą, bo Antoni van der Heyden bardzo rzadko celu swoiego chybi.

Te ostatnie wyrazy zaspokoiły także ciekawość Dolpha, a kilka zapytań objaśniło go zupełnie względem charakteru osoby którą widział, oraz iey towarzyszów. Dowódzca w szerokim kapeluszu był to Mynheer Antoni van der Heyden z Albany, o którym Dolf tak często był słyszał. Był on bohaterem licznych przygód, albowiem był to człowiek dziwacznego humoru i nałogów, przez co zadziwiał swoich spokoynych sąsiadów. — Bardzo był bogaty, odziedziczył bowiem obszerną przestrzeń nie uprawney roli i kilkadziesiąt baryłek wódki, przez co mógł sobie iśdź za swoiém upodobaniem. Zamiast spokoynie siedziéć w domu, iadać i piiać w zwyczaynych godzinach, palić faykę przed domem i spać na miękkiém łożku, naywiększą miał uciechę w dzikich i niebezpiecznych wyprawach. Nayszczęśliwszym był kiedy polował w pustyni, kiedy nocował pod drzewem, kiedy żeglował na iezíorze albo na rzece, łowił ryby i bił zwierzynę. Bardzo lubił Indyan i ich sposób życia, uważaiąc go iako prawdziwą przyrodzoną swobodę i iako przynoszącą uciechy godne mężczyzny. Gdy był u siebie, kilku pasibruchow indyyskich zawsze

)(

błąkało się w iego domu, spało na słomie, przyrządzało instrumenta myśliwskie na iaką nową wyprawę, albo też strzelało do celu.

Mynheer Antoni miał nad temi włóczącemi się istotami taką samą władzę iaką myśliwy ma nad psami swoiemi ale całe sąsiedztwo gorzko na nich narzekało.

Ponieważ był bogatym, nikt więc nieśmiał sprzeciwiać się iego dziwactwu a oprócz tego obchodził się ze wszystkiemi szczerze i wesoło, co mu wiele iednało przyiaciół. Idąc ulicą spiewał zawsze iakie dawne holenderskie piosnki, kłaniał się zdaleka wszystkim których napotkał, a gdy wchodził do domu uderzał poufale po ramieniu gospodarza, ściskał za rękę tak że nie raz aż wrzasnął, i całował iego żonę i córkę w iego przytomności... Jednem słowem w postępowaniu Mynheera Antoniego niebyło ani dumy ani złego humoru.

Oprócz Indyan o których mówiliśmy, miał ieszcze pomiędzy białemi trzech lub czterech przyiaciół, którzy uważali go za swego patrona, żyiąc z iego kuchni i maiąc niekiedy zaszczyt towarzyszenia mu w iego wyprawach.

Z tłumem to psów tego rodzaiu, krążył wówczas wzdłuż brzegów Hudsonu, w szalupie którą trzymał dla swey rozrywki. Towarzystwo składało się z Mynheera Antoniego z dwoma białemi ubranemi iak kraiowcy i z czterech iego ulubionych Indyan.

Trzy lub cztery dni iuż upłynęło iak się znaydowali w górach, poluiąc na ielenie i żyiąc z łupów polowania.

»Wielkie iest szczęście, młodzieńcze, rzekł Antoni van der Heyden, że dziś wpadłeś w wodę, ponieważ iutro iak świt wyruszemy do domu, nie wiem czybyś znalazł wieczerzę pośród tych gór.... Już dosyć dawno iak się w kociołku gotuie. Idźmy, zasiądźmy prędko do stołu; a ia wam oświadczę że nasz gość nie myśli bawić się ze swoim widelcem."

Wielkie zamięszanie powstało natychmiast w małym obozie, ieden porwał za kociołek i wyrzucił iadło w ogromną misę drewnianą; inny zastawiał stół na płaskiey skale, trzeci przyniósł różne statki z szalupy, a Mynheer Antoni zniósł dwie czyli trzy flasze napoiu który zamykał w skrzyni na klucz, ponieważ znaiąc aż nadto swych towarzyszów nie chciał go im powierzać.

Zastawiono wkrótce ucztę nie bardzo wykwintną ale posilną, składała się ze zwierzyny, nieco z zimnego pekefleyszu, kukuruzy i wybornego chleba.

Dolf nigdy nie biesiadował z większą rozkoszą, i gdy się napił nieco wina Antoniego Mynheera, a ciepło rozlało się po iego żyłach, nie byłby zamienił swego położenia na stan rządcy prowincyi. Mynheer rozweselił się, z kolei opowiedział ze dwanaście powieści, które pobudziły do śmiechu białych, chociaż Indyanie podług swego zwyczaiu zachowali nienaruszoną powagę.

»Takie to życie! rzekł uderzaiąc po ramieniu Dolfa powinieneś prowadzić. Człowiek nie iest człowiekiem gdy nie umie urągać się burzy przebiegać lasy i pustynie, spać pod drzewem."

Potem zaczął spiewać kilka zwrotek piosnki holenderskiey a towarzysze powtarzali ostatnie wiersze w Chórze, i po całym lesie zabrzmiały ich tony wesołe.

Jdnak pośród swey wesołości Mynheer Antoni chociaż pozwalał pić Dolfowi, ile zechce sam, nalewał ludziom swego orszaku, a szczególniey zwracał uwagę aby bardzo umiarkowanie udzielać napoiu Indyanom. Po skończeniu uczty, Indyanie wypiwszy wódkę, wypaliwszy fayki, zawinęli się w odzienie, rozciągnęli się na ziemi, nogi obrócili ku ogniowi i wkrótce zasnęli.

Reszta myśliwych rozmawiała przy ogniu, który posępność lasu i wilgoć po burzy ieszcze przyiemnieyszym czyniła. Rozmawiać zaczęto o przygodach myśliwskich, o niebezpieczeństwach w pustyni, o różnych zdarzeniach dotyczących się osadników nad temi brzegami osiadłych. Tutay pamięć Mynheera Antoniego dostarczyła mu bardzo wielu szacownych szczegołów: gdy ten śmiały strzelec usiadłszy na krzywym pniu opowiadał dziwne te powieści, a ogień oświécał wydatne rysy iego twarzy: Dolfa uderzyło znowu wspomnienie widma w pustyni domu; było to iak iuż powiedziałem niepewne podobieństwo, nie mogące odnieść się do żadnego szczególnego rysu, lecz do całéy fizyonomii.

Spadnięcie Dolfa z okrętu w rzekę, dało powód do mówienia o rozmaitych klęskach i dziwnych przypadkach, które spotkały podróżnych na téy wielkiéy rzéce, a zwłaszcza w piérwszych latach osady, a większą ich część Mynheer nadprzyronym skutkom przypisał. Dolf zadziwił się słysząc te wyrazy. Ale starzec zapewnił go; że wszyscy osadnicy przekonani są iż te góry zostaią pod wpływem istot nadprzyrodzonych i złośliwych, a które nie nawidziły Holendrów pierwszych osadników tego kraiu. Jakoż te duchy zawsze miały uciechę w wyrządzaniu wszelkiego rodzaiu psot kapitanom okrętowym dręczyli ich burzą, przeciwnemi wiatrami i tysiącem innych przeszkód, tak dalecę, iż hollenderski żeglarz musiał podeymować mnóstwo środków ostrożności które opóźniały iego drogę.

Wszystkie te przygody bardzo objaśnia dawna ta historya o *Okręcie burzy* który się pokazuie na rzéce Hudson. Kiedy mu Dolf oświadczył że nic o tym nie słyszał, Mynheer zdziwił się niezmiernie i opowiedział następuiącą przygodę.

Okręt Burzy.

W złotym wieku prowincyi nowych Niderlandów, kiedy zostawała pod zarządem Wutera van Twiller, zwanego inaczey Sceptykiem, mieszkańców Manhattoesu wieczórem w lecie podczas porównania dnia z nocą przeraziła nagle okropna burza;—Deszcz strumieniami padał i odpryskiwał od ziemi. Grzmoty huczały przeraźliwie. Błyskawice migotały się około Kościoła St. Mikołaja i trzykroć lecz na próżno usiłowały uderzyć w iego chorągiewkę na wieży. Nowy komin Geritta van Hoorn został rozwalony od góry aż do dołu, a Doffje Mildbergera na iego łysey klaczy uderzył piorun w chwili gdy wieżdżał do miasta. Słowem, była to iedna z tych burz bezprzykładnych, które się tylko raz zdarzaią w życiu szanownych osób znanych we wszystkich miastach pod nazwiskiem *naydawnieyszych mieszkańców*.

Nic nie mogło wyrównać trwodze poczciwych starych niewiast Manhattoessu. Pozabierały dzieci i schroniły się do piwnic, zawiesiwszy trzewik na każdym słupku żelaznym u łóżka, z obawy aby nie ściągnęły pioruna, a zachodzące słońce przedzieraiąc się przez chmury, odbiiało się w wodach zatoki na kształt złota roztopionego.

Dano znak z twierdzy że statek zmierza ku zatoce. Wiadomość ta przechodziła z ust do ust, z ulicy na ulicę i wkrótce sprawiła zamięszanie w małey stolicy. Przybycie okrętu w pierwszych latach od założenia osady, było zdarzeniem nader ważnem dla iey mieszkańców. Przywoził im wiadomości ze starego świata, o ich mieyscach rodzinnych, od których byli zupełnie oddzielnemi; okręt wreszcie dostarczał im raz w rok zapasów żywności, mod i innych przedmiotów pierwszey potrzeby. Gospodyni nie mogła mieć ani nowego czepka, ani nowey sukni przed przybyciem okrętu; artysta oczekiwał instrumentów; burmistrz lulki i wódki iałowcówki, student piłki i kręgli; maiętny obywatel cegieł z których nowy dom chciał stawiać: tak zamożni i biednieysi z niecierpliwością oczekiwali okrętu; był to wielki wypadek w nowym Amsterdamie, a przez cały rok, okręt był powszechnym przedmiotem rozmów.

Nie należy się więc dziwić ieżeli wiadomości odebrane z twierdzy, sprowadziły wszystkich na bateryą dla przypatrzenia się widowisku tyle pożądanemu. Nie była to zupełnie chwila w którey okręt miał przybyć i ta okoliczność była powodem do tysiącznych wniosków. Mnogie tłumy utworzyły się tu i owdzie; widziano mieszczan z powolną i okazałą powagą, i zaufaniem w swoim wyroku objawiaiących zdanie, mnóstwo starych kobiet i młodych próżniaków. Daley była mała gromada starych marynarzy i rybaków, których głos miał wielką powagę w podobnych okolicznościach. Każdy oświadczał się ze swoią myślą, a ponieważ te były bardzo różne, przeto rozprawy dosyć żywe wszczynały się pomiędzy zwolennikami tey lub owey strony; lecz człowiek któremu wszyscy okazywali naywięcey uległości, był Hans van Pelt, stary kapitan holenderski wyszły ze służby i który był wyrocznią we wszystkiem co się tylko tyczyło żeglugi. Przypatrywał się okrętowi przez stary teleskop, nucił piosnkę holenderską i nic nie mówił; lecz wyznać trzeba że koniec aryi śpiewaney półgłosem przez Hansa van Pelt więcey znaczył u publiczności niż mowa nayozdobnieysza innego człowieka.

Gdy się to działo, okręt tym czasem co chwila stawał się widocznieyszym. Był to wielki statek budowy holenderskiey, i maiący banderę tegoż narodu. Zachodzące słońce pozłacało żagle rozdęte od wiatru i statek posuwał się poważnie na morzu. Straż która go naprzód spostrzegła, mówiła że się iey pokazał zaraz wpośród zatoki i że zdawało się iak gdyby ten okręt wyszedł z łona ciężarney chmury. Przytomni spoglądali ciekawie na Hansa van Pelt, chcąc usłyszyć zdanie iego w tey mierze. Hans van Pelt ściskał tém bardziey usta i nic nie mówił, na co iedni wstrząsali głową drudzy ruszali ramionami.

Zawołano kilka razy na ten okręt, lecz osada nic nie odpowiedziała, a miiaiąc port, żeglował szybko i płynął w górę Hudson. Wymierzono działo które Hans van Pelt nabił i z którego nie bez trudności wystrzelono, ponieważ załoga składała się z niebardzo doświadczonych artylerzystów. Zdawało się że kula przeszyła okręt aż na drugą stronę ale osada wcale tego nie uważała. Naybardziey uderzało to, że okręt rozpuścił wszystkie żagle

a iednakże płynął pod wiatr i bałwany morskie.

Jednak Hans van Pelt owczasowy kapitan portu, kazał przyrządzić swoię szalupę i udał się do okrętu; lecz żeglowawszy nadaremnie dwie lub trzy godziny wrócił nie mogąc się dostać do niego. Zbliżył się kilka razy iuż tylko o 100 sążni od okrętu który nagle oddalał się i pokazywał prawie w odległości ćwierci mili. Kilka osób utrzymywało, że to była wina iego maytków którzy nie będąc dosyć silnemi, przestawali co chwila robić wiosłami i pluli w ręce; ale to tylko iest potwarz. Van Pelt dosyć blizko podpłynął aby mógł rozpoznać osadę. Ubrana była po holendersku, officerowie mieli mundury i wielkie kapelusze z piórami. Na pokładzie statku nikt nie mówił ani słowa, wszyscy maytkowie stali nieporuszeni iak gdyby posągi, a statek zdawał się bydź samemu sobie oddany. Tym sposobem odbywał podróż płynąc pod wodę i zmnieyszaiąc się stopniowo w oczach, tak iż potem podobnym był tylko do małey białey chmurki i nakoniec zniknęł.

Przybycie tego okrętu nabawiło gubernatora naywiększéy niespokoyności, iakiey tylko doznał w ciągu swoiego zarządu. Obawiał się aby to nie był statek nieprzyiacielski wysłany dla zaięcia osad założonych na brzegach rzeki. Zwoływał kilkakrotnie radę mieyską, przedstawiał iey swoie domysły. Siadał w krześle obrzędowém z drzewa pochodzącego ze świętego lasu Hagi, palił z długiey swoiey lulki iasminowéy, i słuchał wszystkiego co mu tylko iego doradzcy mówili w przedmiocie, o którym to wiedzieli co i on, lecz naprózno zdolne i osiwiałe głowy zagłębiały się w domniemaniach: nie mogły usunąć wątpliwości Gubernatora.

Wyprawiono posłańców do rozmaitych mieysc położonych wzdłuż rzeki; wszyscy wrócili bez żadnéy wiadomości, statek nigdzie nie przybił. Minęły dnie i tygodnie a nie wrócił na dół. Mówią o tém często. Rzadką było rzeczą ażeby kapitan szalupy przybył nie donosząc że widział ten osobliwy statek w iakowém mieyscu. Raz było to blizko Pallisad, drugi raz niedaleko Krotonu, niekiedy w górach, lecz nigdy po za górami. W istocie powieści maytków różniły się bardzo pomiędzy sobą w szczegółach, ale tylko na pozór, bo to mogło pochodzić z różnego położenia w iakiém okręt widziano. Jedni mówili że go spotkali przy świetle błyskawic podczas okropnéy nocy żegluiący pod Tappaan Zée, lub na obszernéy zatoce Paille d'Avoine. Niekiedy zdawało im się że ten dziwny statek iest blisko nich i ma się z nimi spotkać; za chwilę widzieli go w odległości, lecz zawsze płynący pod wiatr. Niekiedy podczas piękněy i spokoynéy nocy, uważano go przy świetle xiężyca pod wysoką górą, któréy cień zakrywał go zupełnie, wyiąwszy naywyższe żagle iaśnieiące od promieni xiężyca; lecz nim podróżni przybyli na mieysce, statek zniknął; a gdy ie minęli i oglądali się w tył, widzieli znowu xiężyc oświécaiący iego żagle. Pokazywał się zawsze bądź podczas burzy, bądź bezpośrednio wprzód lub po niéy, znali go wszyscy kapitanowie, równie iak wszyscy podróżni którzy zwiedzali rzékę Hudson, pod nazwiskiem *Okrętu Burzy*.

Te doniesienia naybardziey niespokoynym czyniły Gubernatora i radę iego; nie byłoby końca domysłom gdyby ie chciano powta-

rzać wszystkie, iakie tylko kto tworzył w tym przedmiocie. Jedni mówili że widziano okręty na brzegach Nowéy Anglii i że na nich płynęły czarownice i strachy. Stary Hans van Pelt który był nie raz na przylądku Dobréy nadziei, zapewniał, że to musiał bydź okręt lataiący, który się był tak dawno pokazał w zatoce Table; lecz który bez wątpiénia nie mogąc wniyść do portu, postanowił szukać innego mieysca do zarzucenia kotwicy. Kilka osób mniemało, że gdyby to było istotnie zjawisko nadprzyrodzone, mógł to bydź Henryk Hudson ze swoim Półxiężycem, który wylądował niegdyś w wyższéy części rzéki, chcąc się udać do Chin północno-wschodnią drogą. To mniemanie mało co znaczyło u gubernatora, lecz miało dosyć stronników pomiędzy mieszkańcami: bo oddawna mówiono że Henryk Hudson powraca ze swoim okrętem, na górę Kaatskill, i nic nie było rozumnieyszego iak mniemać, że iego okręt może płynąć po rzece, na któréy iego przedsięwzięcie spełzło; czyli raczéy że wiezie cienie na górę gdzie się pokazuie.

Zdarzyły się atoli inne wypadki, które zaięły myśli mądrego Wuttera i iego rady i przestano rozprawiać o *Okręcie Burzy*. Wierzono iednak w niego dopóty, dopóki trwała administracya hollenderska, a zwłaszcza na krótki czas nim Anglicy tę kraie zdobyli.

Wówczas Okręt Burzy postrzeżono kilkakrotnie na morzu i poczytano owe częste zjawiska iako przepowiednią upadku władzy Holendrów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

III.

z Paryża.

Wspaniała maiętność Malmaison gdzie niegdyś Józefina opłakiwała rozwód z Napoleonem i gdzie on sam przepędził nie iedną wesołą godzinę w swoiém życiu, lub rozmyślał o nowych planach, ma bydź częściowo przedana. Tak się zmienia wszystko na ziemi! Próżno stoi na wniyściu dom straży, gdzie dumni grenadyerowie gwardyi Napoleona wszystko niegdyś ożywiali. Opuszczony Zamek nie mieśei iuż więcéy tych, którzy tu tłumami biegli przypatrywać się i dziwić pięknym zakładom tak niedbale dzisiay utrzymywanym, ogrodom i trebhauzom ozdobionym wówczas naykosztownieyszemi zagranicznemi roślinami, — wybornie urządzonéy galeryi obrazów, —aleom i pomieszkaniu Cesarzowey, daléy śmieiącym się łąkom z chatką szwaycarską i szwaycarszczyzną. Po rozerwaniu na części téy cudownéy całości, zaledwie zostanie domyślanie się tego co tu niedawno było! Taki iest los piękności na tey ziemi! Aukcya na kosztowne meble, zbiór dzieł sztuki i bibliotekę Ces: Józefiny i Bonapartego zaczęła się 31 Maia i trwać ma aż do środka Czerwca codziennie, wyiąwszy święta, w Malmaison i Boispreau na rachunek sukcesorów X. Leuchtenberg.

Nowe melodramma w 5 akt. Marino Falieri rymowane P. K. Delavigne wystawiono d. 30 Maia przy hucznych oklaskach i natłoku widzów w teatrze St. Martin. Rzecz sztuki dzieie się w Wenecyi, Autor naśladował tragedyą Byrona: Faliero (traiedya ta wyszła w Londynie roku 1821).